

Wracam do miasta, w którym się urodziłem, aby towarzyszyć mamie pozostającej w szpitalu kilka dni po operacji. To miasto w Kastylii, gdzie ludzkie ciała chodzą owinięte w futra zwierząt, które nigdy nie mieszkały w tym regionie, i w którym okna domów zdobią hiszpańskie flagi. To miasto mnie przeraża. Widzę, jak skóra obcych w końcu przekształca się w płaszcz. A skóra tych, którzy się tu urodzili, prędzej czy później staje się flagą narodową. Spędzamy dni i noce w sali numer 314. Szpital został niedawno wyremontowany, ale moja matka upiera się, że sala przypomina tę, w której mnie urodziła. Dla mnie właśnie dlatego, że nic mi nie przypomina, ta sala szpitalna wydaje się bardziej przyjazna niż dom rodzinny, bezpieczniejsza niż ulice handlowe, bardziej odświętna niż place kościelne. Rano, po wizycie lekarskiej, wychodzę na kawę. W tym szpitalu, położonym na opustoszałym terenie, nie ma kafejki. Idę wzdłuż rzeki Arlanzón do najbliższego baru, w oślepiającym i promiennym mrozie, który Kastylijczycy nazywają „słońcem z paznokciami”. Oddycham lodowatym, idealnie czystym powietrzem, ten powietrzny kärcher celuje prosto w udrękę ukrytą w mojej piersi.

Bycie transsynem hiszpańskiej katolickiej prawicowej rodziny nie jest łatwym zadaniem. Kastylijskie

niebo jest prawie tak czyste jak w Atenach, ale jeśli w Grecji błękit to kobalt, tutaj to kolor stali. Każdego ranka wychodzę i planuję nie wracać. Zdezerterować z rodziny, jak dezertuje się z wojny. Ale nie robię tego. Wracam i zajmuję krzesło przeznaczone dla bliskiej osoby. Jaki jest pożytek z postępowego rozumu, jeśli serce pozostaje w tyle, mówił Baltasar Gracián. W szpitalu od południa do ósmej wieczorem wizyty następują po sobie. Ta sala zmienia się w publiczną scenę teatralną, na której moja matka i ja walczymy, nie zawsze skutecznie, aby odegrać role. By mnie przedstawić, moja mama mówi: to Paul, mój syn. Odpowiedź jest zawsze taka sama: myślałam, że masz tylko jedną córkę. Moja mama wznosi więc oczy do nieba i zastanawia się, jak wybrnąć z tego retorycznego impasu: tak, miałam tylko jedną córkę i teraz mam syna. Jeden z gości dedukuje: ach, to jest mąż twojej córki? Nie wiedziałem, że jest mężatką, gratulacje... Więc moja mama zrozumiała, że zrobiła błąd w strategii i wycofuje się, jak ktoś, kto próbuje szybko podnieść sznurka latawca, który wzbił się za wysoko. Poprawia: nie, nie, nie jest zameżna, to moja córka... Milczy chwilę, podczas której przestaję na nią patrzeć, a następnie kontynuuje: to moja córka, która teraz... jest... moim synem. Jej głos rysuje kopułę Brunelleschiego wznoszącą się, gdy mówi „córka”, i wałącą się w upadku, gdy mówi „syn”. Nie jest łatwo być matką transpłciowego dziecka w mieście, w którym queerowe dziecko jest gorsze niż martwe dziecko. Oczy gościa strzelają na wszystkie strony, nim wydobędzie z siebie ciche

westchnienie. Czasami się uśmiecham: czuję się jak Louis de Funès w filmie science fiction – moim życiu. Innym razem ogarnia mnie zdumienie. Już nie rozmawiamy o chorobie mojej matki. Teraz choroba to ja.

Nie jest łatwo być transpłciowym dzieckiem w katolickiej rodzinie, która nauczyła się, że Bóg wybiera i nigdy się nie myli. Decydować o czymś inaczej to zaprzeczać Bogu. Moja matka zaprzeczyła doktrynie Kościoła. Mówi, że matka jest ważniejsza niż Bóg. Oczywiście nadal chodzi na mszę w niedziele: mówi, że zrobi rachunek sumienia w życiu pozaziemskim i do tego Kościół nie musi się mieszać. Mówi to przyciszonym głosem, wie, że bluźni. Nie jest łatwo być matką transpłciowego dziecka mieszkającą obok sąsiadów z Opus Dei. Czuję się jej dłużnikiem, ponieważ nie jestem i nie mogę być dobrym synem. Podnoszę jej nogi, żeby poprawić krążenie, i mówię sobie, że jestem lepszą pomocą medyczną niż synem. Gdy aktualizuję aplikacje jej telefonu, zmieniam układ ekranu i instaluję nowe dźwięki, wmawiam sobie, że jestem lepszym informatykiem niż synem. Podczas gdy zbieram jej włosy w kok i nadaję im objętość z przodu, mówię sobie, że jestem lepszym fryzjerem niż synem. Kiedy robię jej zdjęcie i wysyłam znajomym powyżej osiemdziesiątki, którzy nie mogą już jej odwiedzić, mówię sobie, że jestem lepszym fotografem niż synem. Jestem lepszym chłopcem na posyłki niż synem. Jestem lepszym kompilatorem jej ulubionych filmów Rocío Jurado na YouTube niż synem. Jestem lepszym czytelnikiem lokalnej gazety niż synem. Jestem lepszym prasowaczem

i składaczem kobiecych ubrań niż synem. Jestem lepszym sprzątaczem łazienki niż synem. Jestem lepszym nocnym pielęgniarzem niż synem. Jestem lepszym przewietrzaczem sypialni niż synem. Lepiej szukam kluczy zagubionych na dnie torby, niż umiem być synem. Jestem lepszym dystrybutorem pigułek niż synem. Jestem lepszym kserokopistą dokumentów do ubezpieczenia społecznego niż synem. I wszystkie te rzeczy, pielęgnacja, stylizacja włosów, naprawa komputerów i telefonów, pobieranie filmów, znajdowanie kluczy, robienie kserokopii... uspokajają mnie, prowadzą mnie i koją.

Burgos, 12 stycznia 2018

MOJE CIAŁO TRANS TO PUSTY DOM

W Atenach mieszkam w domu, o którym mogę powiedzieć, że jest to mój pierwszy dom od ponad dwóch lat. Nie posiadam go. Nie jest to konieczne. Po prostu go używam. Doświadczam go. Celebрую. Po mieszkaniu w trzech innych domach przy różnych ulicach i w różnych dzielnicach – Filopappos, Neapoli, Eksarchia – oraz w kilkunastu hotelach zachowuję przede wszystkim w pamięci wspomnienie ptaków, które śpiewały rano na wzgórzu Strefi w hotelu Orion. W końcu, nie bez trudu, zdecydowałem się podpisać umowę wynajmu.

Mieszkam w tym pustym domu od ponad miesiąca. Pozbawiony wszelkich mebli dom to tylko drzwi, dach i podłoga. Z powodu opóźnienia dostawy łóżka (zwykła rzecz w Grecji) byłem zmuszony spać dwa tygodnie w całkowicie pustym mieszkaniu. W nocy moje biodra zderzały się z drewnem i wstawałem posiniaczony. Doświadczenie bez wątpienia inauguracyjne i estetyczne: ciało, przestrzeń. Zdarzyło mi się obudzić o trzeciej nad ranem i zastanawiać się, leżąc na ziemi, czy jestem człowiekiem czy zwierzęciem, w tym stuleciu czy innym, czy istnieję naprawdę, czy też jestem tylko fikcyjną materią. Pusty dom to muzeum XXI wieku, a moje ciało – bezimienne, mutujące i pozbawione siebie – to dzieło.

W pustym domu przestrzeń staje się miejscem wystawy, a podmiotowość – dziełem sztuki. Paradoksalnie, każdy jest wystawiany na prywatnej scenie. „Nie nawidzę publiczności” – mawiał pianista Glenn Gould. W 1964 roku, kiedy miał trzydzieści dwa lata, u szczytu swojej kariery, zrezygnował z sal koncertowych i wycofał się na zawsze do studia nagraniowego, by tam robić muzykę. Tym właśnie jest pusty dom – to studio, w którym rejestrujemy nasze życie. Z tą różnicą, że nasza podmiotowość jest jednocześnie muzyką, instrumentem i techniką nagrywania. Na początku byłem przekonany, że mieszkanie pozostało puste na skutek spłotu różnych okoliczności: przepracowania, braku czasu, braku dóbr, które mogłyby zostać nagromadzone w tej przestrzeni. Mam tylko kilka ubrań (dżinsy APC, białe lub niebieskie koszule, filcowy płaszcz, czarne buty), niezbędną walizkę, kilka książek i trzy tuziny zeszytów, które same w sobie stanowią samodzielną rzeźbę w przestrzeni – jak wskaźnik jakiegoś kultu, chyba że może patologii.

Zajęło mi trochę czasu, zanim zdałem sobie sprawę, że powód, dla którego utrzymywałem to miejsce puste, nie był przypadkowy: ustanowiłem istotny związek między moim procesem tranzycji i moim sposobem zamieszkiwania przestrzeni. W pierwszym roku tranzycji, gdy zmiany hormonalne rzeźbiły moje ciało jak mikroskopijne dłuto działające od wewnątrz, mogłem żyć tylko jako nomada. Przekraczanie granic z paszportem, który ledwo mnie reprezentował, było wtedy sposobem na zmateralizowanie tranzytu,

uwidocznienie ruchu przeprowadzki. Dzisiaj po raz pierwszy mogę się zatrzymać. Pod warunkiem że ten dom pozostanie pusty: że zawieszę technoburżuazyjne konwenanse stołu, sofy, łóżka, komputera, krzesła. Ciało i przestrzeń konfrontują się bez pośrednictwa. Tym samym nie są już wobec siebie przedmiotami, ale relacjami społecznymi. Moje ciało trans to pusty dom. Wykorzystuję polityczny potencjał tej analogii. Moje ciało trans jest mieszkaniem do wynajęcia, bez żadnych mebli, miejscem, które nie należy do mnie, bezimienną przestrzenią – ciągle czekam na prawo do bycia nazwanym przez państwo, czekam i boję się przemocy bycia nazwanym. Mieszkanie w domu całkowicie pustym nadaje każdemu gestowi charakter inauguracyjny, powstrzymuje czas powtarzania, zawiesza interpelacyjne podsumowanie normy. Widzę siebie, jak biegam po domu lub chodzę na palcach podczas jedzenia. Widzę siebie, jak leżę na ziemi z nogami opartymi o ścianę i czytam lub jak opieram się o balustradę okna w trakcie pisania.

Odzwyczajanie rozciąga się na inne ciała, które przenikają tę przestrzeń: gdy ona do mnie przychodzi, nie możemy robić prawie nic innego, tylko patrzeć na siebie, stać, trzymając się za ręce, leżeć lub się kochać. Piękno tego wyjątkowego doświadczenia, które można by nazwać „odmeblowaniem”, sprawia, że zastanawiam się, dlaczego zmuszamy się do meblowania domów, dlaczego jest nieodzowne, abyśmy znali naszą płęć, wiedzieli, jaka płęć nas przyciąga. Ikea jest tym dla sztuki zamieszkiwania, czym normatywna

heteroseksualność dla pożądającego ciała. Stół i krzesło tworzą komplementarną parę, która nie dopuszcza pytań. Szafa to pierwszy certyfikat prywatnej własności. Lampka przy łóżku to małżeństwo z rozsądku. Sofa przed telewizorem to penetracja waginalna. Zasłona zwisająca z okna to cenzura antypornograficzna, która opada nocą. Któregoś dnia, gdy kochaliśmy się w tym pustym domu, nazwała mnie moim nowym imieniem i powiedziała: „Problemem jest nasz umysł. Nasze umysły walczą, ale nasze dusze i ciała są w doskonałej harmonii”. Kilka minut później, gdy moja klatka piersiowa otworzyła się, by wciągnąć kilka atomów tlenu więcej, a moja kora mózgowa nabrała konsystencji bawełny, poczułem, jak moje ciało rozpływało się w pustej przestrzeni, a mój autorytatywny i normatywny umysł, prawie martwy, abdykował.

Ateny, 8 października 2016